

DUCHY
GALWAY

KEN BRUEN

DUCHY
GALWAY

Tłumaczył
Marcin Żuchowski



Wizard Media

Tytuł oryginału:

The Ghosts of Galway

Copyright © 2021 by Ken Bruen

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wizard Media Ltd.

Copyright for the Polish translation © 2021 by Wizard Media Ltd.

Żadna część ani całość książki nie mogą być publikowane i reprodukowane w jakiegokolwiek formie bez uzyskania wcześniejszej, pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to również rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych i internetu.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Beata Bieniada

Korekta: Małgorzata Boruta

Projekt okładki i skład: Bluejay Media

Zdjęcie na okładce: © iStock.com/Rihardzz

ISBN 978-1-9998158-8-2

Wydanie I

Wydawca: Wizard Media

Wizard Media Wydawnictwo

 [wizardmedia.com.pl](https://www.wizardmedia.com.pl)

Dla
Des i Gerry'ego Bruen –
Szanownej gałęzi Klanu
i
dla
Jamesa Casserly
oraz
Mojemu Drogiemu Szwagrowi –
Markowi (PJ) Kennedy
i Ewy Devin –
Ci niezwykli ludzie
wprowadzili niezwykle światło do naszego życia.
Miejsce w Niebie dla każdego z Waszej całej Trójki.

W kółko powtarzałem w myślach rozmowę z moją
niegdyś przyjaciółką,
byłą sojuszniczką,
a teraz – zaciekłym wrogiem –
panią sierżant Ridge.

Nie pierwszy raz znalazłem się w bardzo mrocznym miejscu. Nieudana próba samobójcza, śmiertelna diagnoza mojego stanu zdrowia oraz ciągły marsz Trumpa.

Pomyślałem, że może chociaż zakopię jakiś topór wojenny i spróbuję wrócić do dawnej przyjaźni z Ridge.

W sensie, jeśli masz spierdalone zdrowie, twoi przyjaciele/wrogowie serio mogliby trochę odpuścić.

Co nie?

Nie.

Zadzwoiłem do Ridge. Lekarz znów się ze mną skontaktował i zasugerował, że być może... po prostu jest szansa, że...

Jego diagnoza była kapkę nietrafiona.

No i co, pojechałem i oderwałem mu łeb?

A może kupiłem mu skrzynkę Jamesona?

Nie. Postawiłem na los szczęścia i wciąż miałem nadzieję.

Ridge mówiła krótko – co za zimna cipa.

Byłem zmęczony, to zmęczenie wciskało się wszędzie,

gdzie tylko mogło. Poprosiłem ją o spotkanie.

Spotkaliśmy się w Garavans i – co zupełnie do niej nie pasowało – zamówiła dużą wódkę z dietetycznym tonikiem. Ja wołałem Jaya¹. Była ubrana w miękki, zielony sweterek – a może zaszaleję i powiem: szmaragdowy.

Białe dżinsy, tak jasne, że aż oślepiały – ale na tym światelko się kończyło.

Wyglądała na zmęczoną.

Właściwie to raczej – zmordowaną.

Powiedziałem:

– Wyglądasz piorunująco.

Zabójcze spojrzenie.

Odparła:

– Ta Emily, ona jest zdecydowanie niekoszerna.

(Emily/Szmaragdowa/Em, szalona punkowa burza morderczych zamiarów, która w dziwny sposób mnie polubiła i wciąż tkwiła niczym cierń w poczuciu sprawiedliwości pani sierżant).

Roześmiałem się i powtórzyłem kpiąco:

– Koszerna? Serio? Tak mówi kobieta z zachodu Irlandii?

Trzasnęła swoją szklanką o stół, bardzo pustą szklanką i odparła:

– Tak czy inaczej, dorwę ją, a jeśli będziesz w to zamieszany, z najwyższą radością ciebie również.

Zastanawiałem się, czy jej nie wtajemniczyć, że moje szanse na pozostanie w grze wynoszą pół na pół. Może by mi odpuściła, dostałbym trochę współczucia, a może nawet szansę, by naprawić naszą zniszczoną przyjaźń?

¹ Potoczna nazwa irlandzkiej whiskey.

– Ostatnio nie czułem się za dobrze.

Była już na nogach, z kącika ust ciekła jej ślina. Rzuciła wściekle:

– Za dobrze? Jaja sobie robisz? Nie czujesz się dobrze od dwudziestu lat. I po cholere mi to mówisz?

Spróbowałem:

– Bo mamy...yyy..., no wiesz, wspólną historię?

Wybuchnęła krótkim, gorzkim śmiechem, ruszyła do drzwi, a na pożegnanie usłyszałem:

– Nawet jeśli jutro umrzesz, mam to w dupie.

Siedziałem zupełnie bez ruchu, a potem mruknąłem:

– W sumie to chyba poszło całkiem nieźle.

Nieco później menelka, której dałem parę euro, spytała:

– Wierzysz w duchy?

Odparłem:

– Tylko po wypiciu Jamesona.

Zbeształa mnie:

– Nie kpij. Duchy kłębią się wokół ciebie i już wkrótce zaleją twoje życie.

I

Zraniony pies

pełźnie w odosobnione miejsce

i pozostaje w ukryciu, aż rany się zagoją,

albo chociaż znikną pod sierścią.

Niedoszły samobójca to smutny, smutny fiut.

Ostatni rozdział „Okrutnego Boga” Alvareza – być może najlepszy opis samobójstwa – dokumentuje własną desperacką próbę autora.

Jeśli chodzi o mnie, to lata porażek, bólu, okaleczeń, bolesnej straty – jak myślicie

... prowadziły mnie do mądrości?

Ni cholery.

Doprowadziły mnie

do

pracy w ochronie.

Grożącej samobójstwem z nudów.

Jeśli miałem się utrzymać na wodzie, potrzebowałem hajsu. Po mojej ostatniej wycieczce, przygodzie, sprawie zostałem nie tylko z samotną duszą, ale i bez grosza.

W ogłoszeniu dla ochroniarzy szukali ludzi z doświadczeniem w wojsku lub policji. Mały taniec fantazji w CV i nawet, jeśli nie budziłem szacunku, to przynajmniej nie wyglądałem na przestępcę.

Gość na rozmowie kwalifikacyjnej uznał:

– Jeśli może pan chodzić i nie wisi nad panem nakaz aresztowania, witamy na pokładzie.

Moim pierwszym zadaniem ochroniarza było pilnowanie

magazynu w portowych dokach. Miałem latarkę i telefon, chyba po to, by w razie ataku złodziei użyć przekleństw. Praca była głównie nudna, ale to mi odpowiadało – w ostatnich latach miałem tyle przygód, że zaspokoilyby najwybredniejszego ćpuna. No i mogłem czytać i płacili mi za to. Idealna praca. Znałem w Stanach faceta, który pracował w ochronie w Nowym Jorku i dostał broń. Mówił mi:

„Jezu, Jack, najpierw pomyślałem: „dar od losu”. Nie muszę się już więcej bać tych dupków. Ale potem, gdy wracałem do domu, puszczałem smutną, płacziwą muzykę, no wiesz, jęki, w stylu: „czemu ona mnie zostawiła?”, „do zakupu zyletka gratis”. Potem wpadłem w depresję, chciałem się zabić, a tu obok spluwa!”

Ale co gdybym źle trafił? I leżałbym całymi dniami we krwi?

Przez pierwszy miesiąc miałem nocki i lubiłem je – nie trzeba do nikogo gęby otwierać, a byłem zdecydowanie nierozmowny. Podbijam kartę w piątek, na koniec zmiany, a tu kierownik czeka i mówi:

– Taylor.

Kiwnąłem głową, a on mówi dalej: – Szef chce się z panem zobaczyć.

– Po co?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dopiero co w tym tygodniu przejrzał akta pracowników, zobaczył pańskie nazwisko i kazał pana ściągnąć.

– Kim on jest?

Głęboko odetchnął, a potem wyjaśnił:

– Alexander Knox-Keaton, pochodzi... gdzieś z Ukrainy. Ukraina!

Przy tych wszystkich falach imigrantów dosłownie rzucających się do oceanu, aby uciec z Syrii i innych morderczych reżimów, Ukraina jakby chwilowo spadła z nagłówków gazet, ale miło było wiedzieć, że jeden z ich ziomków żyje pełnią życia.

Odparłem:

– Nietypowe nazwisko jak na Ukraińca. Spodziewałbym się czegoś bardziej...

... słowiańskiego?

Drwiący uśmieszek.

– Niech mnie szlag, panie Mądraliński. Jaka szkoda, że się marnujesz w tej żalösnej, biednej imitacji pracy.

Nie dałem się sprowokować. Co ciekawe, od czasu mojej próby samobójczej miałem mniejszą ochotę, by nakopać do dupy wszelkim gnojom.

Dodał: – Tu jest jego adres, a ty masz się zgłosić w jego rezydencji jutro w południe.

Powtórzyłem:

– Rezydencji?

Obrzucił mnie znaczącym spojrzeniem, z gatunku: „Co za debil”.

Powiedział:

– Sam zobaczysz. I pamiętaj, żeby ubrać garniaka.

– Mam tylko taki na pogrzeby.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Będzie pasować.

Spędzili popołudnie

Szlachtując konie.

Obrzmiałe czerwone słońce, Matthew McBride

Wczesnym rankiem pierwszego dnia października zataczający się do domu imprezowicz krzyknął:

– Co jest, kurwa?

Stał, czy raczej chwiał się na szczycie Placu Eyre. Gdyby miał zacięcie literackie mógłby wyrecytować:

„Czy moje oczy mnie zwodzą?”

Jednak ponieważ miał kaca i był kretynem, wygłosił tylko:

– Szlag.

Na środku placu leżały zwłoki konia. Po jasnym kasztanku widać było ostre objawy pośmiertnego stężenia. Pijak dodał:

– Nigdy w życiu...

Podszedł, aby przyjrzeć się z bliska, ale nagły skurcz zgiął go w pół. Wyrzucił z siebie taką linię rzygów, że ludzie z *Kryminalnych zagadek* dostaliby bólu głowy. Otarł czoło i przyśiągł: – To był ostatni drink. Koniec z picciem.

Oczywiście pił dalej, ale przez długi czas unikał Placu Eyre. Skończył za to z obstawianiem wyścigów.

Swoim ubiorem chciałem – jeśli nie zaimponować – to przynajmniej wywrzeć określone wrażenie. Mimo to uznałem, że:

Mam przejebane.

Tak więc – mój obecnie bardzo znoszony płaszcz Gardy, zdarte martensy, biała niegdyś koszulka – teraz w odcieniach spranej szarości, oraz spłowieałe aż do bladości levisy.

Facet z Ukrainy miał swoją rezydencję w pobliżu pól golfowych.

W dzieciństwie pomagałem przy noszeniu kijów, co zapewniło mi dożywotnią awersję do tego sportu.

Obracałem w ustach jego imię i nazwisko, by złapać ich sens.

... Alexander

Knox-

Keaton.

Nie ma mowy, żeby tak się naprawdę nazywał, ale co mnie to obchodziło. Jego dom to była szklana zabawka, której wygląd krzyczał dwie rzeczy:

forsa.

i zły smak.

W samochodzie BMW siedziało dwóch ludzi, albo ochroniarze, albo lokalne gliny. Właściwie to bez różnicy, jeśli miałeś wystarczająco dużo hajsu.

Zatrzymałem się, aby obejrzeć dom, mając Zatokę Galway za plecami, i głęboko westchnąłem. Byłem potwornie zmęczony – zmęczony dupkami i głupimi pieniędzmi. Zapaliłem jedną z moich pięciu fajek – ustalonej dziennej dawki – i wydmuchiwałem dym w stronę tego szklanego potwora. Potem mruknąłem:

– No, dajemy czadu na smutno.

Skierowałem się w stronę drzwi. Otworzyły się, gdy tylko podszedłem, a młoda Filipinka w stroju pokojówki zapytała:

– Pan Taylor?

Kiwnąłem głową i odsunęła się, by mnie przepuścić.

Na ścianie w holu widniał olbrzymi gobelin, który najwyraźniej przedstawiał stronę z „Księgi z Kells”.

Pokojówka zaprowadziła mnie do gabinetu mieniącego się książkami; wzdłuż ścian ciągnęły się półki wyłożone pięknie oprawionymi tomami, które wyglądały na używane. Czyli – nie na pokaz. Rzadki przypadek – działająca biblioteka. Grube, ciężkie, drewniane meble, które równie dobrze mogły być wyrzeźbione z szeregu dębów, również wyraźnie były w użytku. W otwartym kominku szalał ogień.

Niewiele jest rzeczy tak poprawiających nastrój, niczym echo dzieciństwa, o którym tylko czytałeś. Pokojówka się wycofała, a ja obejrzałem książki z bliska i prawie nie usłyszałem otwierających się za mną drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem człowieka, który pasował do majestatyczności i solidności pokoju. Mężczyznę, ponad 180 cm wzrostu, emanującego siłą na wszystkie strony. Miał na sobie tweedowy garnitur, bardzo anglo-irlandzki z lat 50. oraz – wcale nie ściemniam – fular, trochę przywodząc na myśl P.G. Wodehouse’a. Do tego pełną czupryną dobrze przyciemnionych włosów oraz twarz świadcząca o tym, że władał forsą i przemocą. Jeśli chodzi o wiek, równie dobrze mógł mieć nieźle utrzymane siedemdziesiąt, jak i, bardzo zjechane czterdzieści.

Wyciągnął wielką dłoń, stwardniałą i pomarszczoną – więc nie był tylko turystą. Huknął:

– Panie Taylor.

Ująłem jego rękę i ku mojej uldze nie okazał się jednym z tych idiotów, którzy miażdżą kości i myślą, że znaczy to coś więcej niż: „jestem kretynem”.

Powiedziałem na wstępie:

– Proszę mi mówić Jack.

Uśmiechnął się, błyskając jednym złotym zębem wśród okazów najlepszej stomatologii kosmetycznej. Odparł:

– A ja jestem Alex.

Potem zaproponował:

– Siadaj, siadaj i pozwól, że poczęstuję cię kieliszkiem whiskey Slain.

Wyrabiana w zamku Slain i promowana przez samego lorda Henry’ego Mount Charlesa, miała trafić na rynek dopiero pod koniec 2017 roku.

Czy byłem pod wrażeniem?

Tak, trochę.

Wziąłem ciężką szklaneczkę z galwayskiego kryształu i zatonałem w fotelu. Zaciągnąłem się przydymioną wonią trunku. Kurewsko cudowna. Zapytał:

– Jak ci się podoba praca?

„Powiedzieć prawdę czy włożyć w dupę?”

Przyznałem:

– Cholernie mnie wynudziła.

Roześmiał się, wyglądał na autentycznie rozbawionego. Potem spytał:

– Czy „Czerwona księga” jest ci znana?

Jego angielski miał takie dokładne, ostrożne brzmienie typowe dla drugiego języka u perfekcjonisty. Równiutko przycięty akcent i prawie słyszałem w jego głowie proces tłumaczenia. Odparłem:

– Znam tylko „Czerwoną książeczkę” Mao.

Dolał nam obu i zaczął:

– Jesteś, jak sądzę... –

przerwał, by delektować się następnym słowem:

–...wielbicielem,
koneserem książek?

„Koneserem”?

Wyjaśniłem:

– Lubię czytać, ale żebym był bibliofilem? Przegięcie.

Podobało mu się to słowo, widziałem, że dodał je do myślowej zakładki. Kontynuował:

– „Księga z Kells” – to znasz?

– „Znasz” nie jest dobrym słowem, ale tak, słyszałem o niej.

Umościł się na krześle naprzeciwko mnie, porządkując sobie w głowie jakiś wykład, który dla mnie przygotował.

Zaczął:

– Została napisana około roku 800. Zawiera tekst Ewangelii. Nikt nie wie, kto ją napisał, ale uważa się, że była to grupa mnichów.

Przerwał.

Podsunałem:

– I?

Wyszczrzył się jak, nie przymierzając, rosomak i ciągnął:

– Wkrótce potem ukazała się konkurencyjna książka, potępiająca Ewangelię i powszechnie uważana za pierwsze prawdziwe dzieło herezji.

Jasne, poproszę o streszczenie.

– Jest znana jako „Czerwona księga”, a Kościół oczywiście zaprzecza jej istnieniu. Czasami używa się jej irlandzkiego tytułu, ale, niestety, ta wymowa jest dla mnie trochę za trudna.

Pomogłem:

– *An Leabhair Dearg*.

Był pod wrażeniem, nawet powiedział:

– Jestem pod wrażeniem.

Odparłem:

– Przyznaję, że ta mała wycieczka aleją Dana Browna jest fascynująca, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Chcę, żebyś mi znalazł tę księgę.

Wstałem.

– Dzięki za drinka i pogawędkę.

W odpowiedzi usłyszałem:

– Proszę.

Najwyraźniej oferował mi czek. Cóż, pieprzyć to. Zawsze spojrzę na te skurwysyństwo.

Gwałtownie wciągnąłem powietrze.

– Jaja sobie robisz.

– Powiedziano mi, że prowadzisz śledztwa uparcie i z poświęceniem, oraz że, w ten czy inny sposób, osiągasz wyniki.

To było ewidentną nieprawdą.

Ale czy zamierzałem się kłócić? Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby i, kurwa, tyle.

Kontynuował:

– Znasz termin „zbuntowany ksiądz”?

Prawie się roześmiałem, chciałem zapytać:

„Czy w dzisiejszych czasach są jacyś inni?”

Ale poprzestałem na:

– Istotnie.

– Kurator Świętych Rękopisów i innych skarbów w Watykanie niedawno zmarł, a jego asystent, ojciec Frank Miller, skorzystał z okazji i nie tylko porzucił swoje powołanie, ale też uciekł z „Czerwoną księgą”.

Jeśli oczekiwał komentarza, ja nie go nie miałem. Mówił dalej:

– Pan Miller ukrywa się teraz w Galway i wystawił tę księgę na sprzedaż.

Podpowiedziałem:

– A więc ją kup.

Westchnął.

– Gdyby to było takie proste. Niestety Miller, jak to mówią, jest zahukany – boi się ludzi z bronią.

Te słowa miały się później na nim zemścić.

– Chcę, żebyś z nim negocjował.

Odparłem:

– Nie radzę sobie za dobrze z księżmi.

– To były ksiądz.

– Nieważne. Jestem pewien, że masz lepszych ludzi do załatwiania z nim interesów. Pewnie skończy się na tym, że nakopię mu do dupy.

Śmiał się, był zachwycony.

– To jest dokładnie to, czego potrzebuję: strach i obrzydzenie.

Niech mnie szlag, mogę spróbować.

Zauważyłem:

– Frank Miller. Dzieli imię i nazwisko ze znanym autorem, grafikiem i reżyserem.

Nie wyglądał na zainteresowanego. Dodałem: – Robił film *Sin City*. Czyż to niezły zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Nie sądził.

Powiedział za to:

– Po prostu zajmij się swoją robotą.

Słyszałem stalowe nuty w jego głosie i chciałem mu powiedzieć, żeby poszedł się jebać.

Ale ten czek.

Wygrał.

Powiedziałem:

– Zaraz się tym zajmę.

Mój pies Storm jakby wiedział, że ostatnio myślałem dużo o samobójstwie i teraz po psiemu uważnie mnie pilnował. W mieszkaniu siedział na moim krześle i gapił się na mnie, jakby chciał spytać: „Co słyhać, kumplu?”

Odpowiedziałem mu w amerykańskim stylu:

– Wiesz, przyjacielu, prawie tam poszedłem do piachu.

Nie mówił po amerykańsku, więc po prostu zamerdał ogonem. Chwyciłem za smycz i usłyszałem krótkie szczeknięcie czystej radości. Narzuciłem mój płaszcz Gardy i wyruszyliśmy w drogę; w kieszeniach trzymałem smakołyki i małą piersiówkę Jaya. Pod koniec października powietrze było suche i pełne życia, ludzie krzyczeli „co u ciebie?”; ciepły nastrój był w dużej mierze wynikiem tego, że nasza drużyna piłkarska pokonała Niemców o jedną bramkę.

Wygrana z najlepszymi.

Mając na karku rząd zdeterminowany, by podważyć wolę narodu i kontynuować pobieranie znieprawdzonej opłaty za wodę, dobrze było mieć powód do uśmiechu. Udaliśmy się na promenadę Salthill i cieszyłem się czystą, niezmaconą niczym radością małego psiaka ze spaceru. Martwy koń na Placu Eyre był gorącym tematem, zwłaszcza że do gazet wysłano następującą wiadomość:

KBSU.

Domysły, że jest to skrócona forma jakiegoś słowa, prowadziły donikąd. Wydawało się oczywiste, że rozwinięciem było: